Laura Bellini



Twoja połowa parapetu

Dla jednej rośliny. Dla dwóch różnych pragnień

Twoja połowa parapetu

Dla jednej rośliny. Dla dwóch różnych pragnień

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384902530

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Granica między nami 11
Rozdział 2 - Warunki współpracy 23
Rozdział 3 - Tam, gdzie przecieka światło 35
Rozdział 4 - Po drugiej stronie ciszy 47
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 60
Rozdział 6 - Bliskość, którą wybieramy 72
Rozdział 7 - Cena otwartych drzwi 85
Rozdział 8 - Nie tylko to, co widzisz 96
Rozdział 9 - Ryzyko, które podejmujemy razem 107
Rozdział 10 - Kiedy przestajemy udawać 119
Rozdział 11 - Miejsce na twoje rzeczy 132
Rozdział 12 - Wszystko, czego nie powiedzieliśmy 145
Rozdział 13 - To, czego nie oddam 156
Rozdział 14 - Prawda między dwojgiem ludzi 168
Rozdział 15 - Podpis pod cudzym życiem 181
Rozdział 16 - Odległość, której potrzebujemy 192
Rozdział 17 - To, co zostaje, kiedy odchodzisz 202
Rozdział 18 - Koszt drugiej szansy 213
Rozdział 19 - Głos, który naprawdę się liczy 224
Rozdział 20 - Twoja połowa parapetu 235

INTRO

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam tamtego ranka, była czerwona kreska przecinająca mój plan oranżerii.

Biegła dokładnie przez środek szerokiego parapetu pod zachodnimi oknami, tam, gdzie od trzech lat rosła najstarsza monstera w naszej kolekcji. Ktoś narysował ją grubym flamastrem na przezroczystej folii przyłożonej do mojego projektu. Obok widniał napis: „Strefa do reorganizacji".

Stałam nieruchomo z kubkiem kawy w dłoni, próbując zdecydować, co bardziej mnie drażniło: bezczelność tej ingerencji czy fakt, że linia została poprowadzona wyjątkowo pewną ręką.

— Absolutnie nie — powiedziałam do pustej oranżerii.

Odpowiedziało mi kapanie wody z nieszczelnego zaworu.

Była siódma piętnaście. Za wysokimi szybami poznańskie niebo miało kolor mokrego betonu, a listopadowy chłód przedostawał się przez metalowe ramy okien. W środku pachniało wilgotną ziemią, liśćmi i starym drewnem. Znałam ten zapach lepiej niż większość perfum. Przez ostatnie cztery lata nauczyłam się rozpoznawać po nim, kiedy podlewano zbyt obficie, kiedy grzejniki działały za mocno i kiedy wreszcie nadchodził deszcz.

Miałam dwadzieścia dziewięć lat, dyplom botaniki i własny plan uratowania miejsca, którego formalnie nawet nie mogłam nazwać swoim.

Plan był konkretny. Sześć tygodni na uporządkowanie kolekcji, naprawę instalacji nawadniającej i przygotowanie społecznego programu opieki nad roślinami. Potem otwarty weekend, zbiórka darowizn i rozmowy z zarządcą budynku

o przedłużeniu finansowania. Wszystko rozpisane w harmonogramie, z kosztorysem i listą mieszkańców gotowych pomagać.

Nie uwzględniłam jednego: człowieka, który uzna, że może przesuwać moje rośliny czerwonym flamastrem.

Zdjęłam folię z projektu. Pod spodem moje oznaczenia pozostały nietknięte. Starannie zaznaczone stanowiska, kierunki światła i miejsca wymagające interwencji wyglądały niemal uspokajająco. Złożyłam obcy arkusz na pół, po czym rozmyśliłam się i rozprostowałam go na stole. Potrzebowałam wiedzieć, kto zostawił tę wiadomość.

— Jeśli szuka pani właściciela tej kreski, to stoję za panią.

Męski głos rozległ się od strony wejścia.

Odwróciłam się.

Mężczyzna miał na sobie ciemny płaszcz rozpięty nad grafitowym swetrem, a pod pachą trzymał zwinięty rulon rysunków. Był wysoki, miał krótkie, ciemnobrązowe włosy i twarz człowieka, który zbyt wcześnie wstał, ale nie zamierzał nikomu tego wypominać. Na jego butach błyszczały krople deszczu.

Najpierw spojrzał na folię w mojej dłoni, potem na monsterę.

— Widzę, że znalazła pani moje uwagi.

— Trudno ich nie znaleźć. Zajmują połowę mojego projektu.

— To akurat przypadek. Mogły zająć więcej.

Nie uśmiechnął się, ale w jego głosie usłyszałam coś, co podejrzanie przypominało rozbawienie.

— Kim pan jest?

— Marek Kłos. Projektuję szklarnie i oranżerie. Poproszono mnie o ocenę możliwości modernizacji tego obiektu.

— Kto poprosił?

— Zarządca nieruchomości. Rozumiem, że pani jest Zuzanna Olszewska.

— Rozumiem, że ktoś powinien był mnie uprzedzić.

Przyjął tę uwagę bez sprzeciwu. Odłożył rulon na wolnym końcu stołu, omijając rozstawione przeze mnie doniczki. Zauważyłam ten gest, choć nie zamierzałam przyznawać mu za niego żadnych punktów.

— Powinien — odpowiedział. — Dostałem informację, że osoba odpowiedzialna za kolekcję będzie dziś na miejscu. Nie wiedziałem, że przyjdzie pani tak wcześnie.

— Rośliny nie dostosowują się do godzin pracy administracji.

— Ludzie projektujący dla roślin też nie zawsze.

To była odpowiedź, której się nie spodziewałam.

Marek zdjął płaszcz i przewiesił go przez oparcie krzesła. Podwinął rękawy swetra, odsłaniając przedramiona. Robił wszystko bez pośpiechu, jakby nie przeszkadzało mu, że patrzyłam na niego z otwartą niechęcią. Ta swoboda działała mi na nerwy bardziej, niż powinna.

— Nie może pan usunąć tej monstery — powiedziałam.

— Jeszcze niczego nie usuwam.

— Napisał pan „reorganizacja".

— Bo obecny układ ogranicza dostęp do okien i instalacji. Jeśli mamy naprawić ogrzewanie, potrzebujemy przestrzeni.

— Nie potrzebuje pan do tego całego parapetu.

Podszedł bliżej. Zatrzymał się po drugiej stronie stołu, dostatecznie daleko, by nie naruszyć mojego miejsca, ale na tyle blisko, że dostrzegłam drobne ślady grafitu na jego palcach.

— Pokaże mi pani, ile rzeczywiście potrzebuję?

Nie było w tym pytaniu protekcjonalności. Raczej wyzwanie, któremu trudno było odmówić.

Wyjęłam z szuflady miarkę.

Przez następne dziesięć minut mierzyliśmy odległości między grzejnikami, ramami okiennymi i donicami. Marek nie próbował przejmować narzędzia. Przytrzymywał taśmę tam, gdzie go prosiłam, zapisywał liczby i zadawał pytania, na które odpowiadałam z coraz mniejszą irytacją. Zauważył pęknięcie w dolnej części ramy, którego wcześniej nie dostrzegłam. Ja pokazałam mu ślady zasolenia pod podłożem, wskazujące, że problem z wilgocią był starszy niż ostatnia awaria.

Kiedy przesunęłam ciężką donicę, żeby odsłonić zawór, natychmiast znalazł się obok.

— Pomóc?

— Proszę przytrzymać podstawę. Nie podnosić za brzeg.

Zrobił dokładnie to, o co poprosiłam.

Nasze dłonie znalazły się na moment po przeciwnych stronach ceramicznej osłonki. Pomyślałam absurdalnie, że ma piękne ręce. Nie dlatego, że były zadbane, lecz dlatego, że sprawnie wykonywały pracę. Nie potrzebował wyjaśnienia dwa razy.

— Ma pani rację — powiedział po chwili, prostując się. — Cały parapet nie jest potrzebny. Wystarczy mniej więcej połowa.

— Moja połowa czy pańska?

Teraz się uśmiechnął.

Nieznacznie, jednym kącikiem ust, ale zupełnie zmieniło to jego twarz. Wcześniej wydawał mi się chłodny. Teraz dostrzegłam zmęczenie wokół oczu i jakąś nieoczekiwaną łagodność.

— To chyba będzie przedmiotem negocjacji.

Spojrzałam w bok, zanim zdążył zauważyć, że odwzajemniłam uśmiech.

Na stole zawibrował jego telefon. Ekran rozświetlił się na sekundę. Nie zamierzałam czytać cudzych wiadomości, ale dostrzegłam fragment powiadomienia: „wariant komercyjny — kalkulacja przychodów".

Marek odwrócił telefon ekranem do dołu.

— Pracuje pan również nad kosztorysem? — zapytałam.

— Nad kilkoma wariantami przyszłości tego miejsca.

— Przyszłości według kogo?

Przez moment przyglądał mi się uważniej, jakby szukał odpowiedzi, która nie zabrzmi jak gotowe zdanie z prezentacji.

— Według ludzi, którzy będą musieli zapłacić za jego utrzymanie.

— I tych, którzy korzystają z oranżerii?

— Ich również.

Wypowiedział to spokojnie, lecz nie tak szybko jak poprzednie odpowiedzi.

Za oknem przejechał tramwaj. Drżenie przeniosło się na szyby, a liść monstery poruszył się lekko, choć w środku nie było przeciągu.

Pomyślałam o pani Helenie z trzeciego piętra, która przychodziła tu codziennie po śmierci męża. O dwójce dzieci z sąsiedniego bloku, pielęgnujących własną sadzonkę cytryny. O sobie, odkładającej od miesięcy propozycję pracy w prywatnym laboratorium, żeby dokończyć projekt, który miał zapewnić wszystkim swobodny dostęp do tego miejsca.

Marek rozwinął na stole nowy arkusz.

— Chciałbym zobaczyć pani harmonogram. Może uda nam się połączyć nasze rozwiązania.

Spojrzałam na jego rysunki, potem na twarz mężczyzny, który w ciągu kilkunastu minut zdążył mnie zirytować, zaskoczyć i zainteresować w sposób zdecydowanie wykraczający poza zawodową ciekawość.

Nie chciałam oddawać mu kontroli nad oranżerią. Nie chciałam również przyznać, że jego obecność zmieniła atmosferę pomieszczenia, które dotąd uważałam za całkowicie przewidywalne.

Podałam mu swój plan, ale zatrzymałam dłoń na jego brzegu.

— Pod jednym warunkiem. Niczego pan tutaj nie obieca nikomu bez rozmowy ze mną i mieszkańcami.

Marek spojrzał na moją dłoń, potem prosto w moje oczy.

— A pani wysłucha propozycji, zanim uzna ją za zagrożenie?

Nie odpowiedziałam od razu.

Przez wilgotną szybę przedostał się wąski pas bladego światła. Padł na parapet, przecinając go niemal dokładnie na pół.

Patrzyłam na Marka, świadoma, że bardziej od jego planów niepokoiło mnie coś zupełnie innego: jak łatwo zaczynałam chcieć, żeby został.

Czy potrafiłabym obronić wszystko, co było dla mnie ważne, jeśli człowiek stojący po drugiej stronie stołu stanie się kimś, kogo nie będę chciała stracić?

Rozdział 1 - Granica między nami

O dziesiątej rano oranżeria przestała być spokojnym miejscem pełnym roślin, a zamieniła się w salę obrad, w której każdy miał własną definicję katastrofy.

Pani Helena przyniosła termos z herbatą i trzy pudełka kruchych ciastek. Pan Roman, emerytowany elektryk z drugiej klatki, zjawił się z notesem, w którym od lat zapisywał wszystkie usterki budynku. Dwie młode matki przyszły z dziećmi, ponieważ nie miały ich z kim zostawić. Przy wejściu pojawili się również mieszkańcy, których dotąd widywałam jedynie podczas corocznego przesadzania roślin.

Łącznie siedemnaście osób.

Każda z nich przyszła z tego samego powodu: otrzymaliśmy informację, że przyszłość oranżerii będzie zależała od oceny technicznej i przedstawienia realnego sposobu finansowania jej utrzymania.

Nie powiedziałam im jeszcze, że człowiek odpowiedzialny za część tej oceny stał właśnie przy zachodnim oknie, przyglądając się konstrukcji dachu.

Marek Kłos wyglądał, jakby nie słyszał narastającego gwaru. Miał na sobie ten sam grafitowy sweter, ale płaszcz zastąpił roboczą kurtką, którą przewiesił przez oparcie krzesła. W jednej dłoni trzymał tablet, w drugiej ołówek. Co jakiś czas unosił głowę, sprawdzając połączenia stalowych profili.

Zastanawiałam się, czy naprawdę był tak spokojny, czy po prostu nauczył się doskonale ukrywać napięcie.

— Zuziu, kto to jest? — zapytała pani Helena, podchodząc do mnie z kubkiem herbaty.

— Projektant. Przygotowuje ocenę modernizacji.

— Aha. — Spojrzała na niego uważnie. — Przystojny.

— To nie ma znaczenia.

— Dla ogrzewania zapewne nie.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, ponieważ Marek odwrócił się w naszym kierunku.

— Dzień dobry państwu. Marek Kłos. Dziękuję, że znaleźli państwo czas.

Jego głos bez wysiłku przebił się przez rozmowy. Nie podnosił go przesadnie, nie próbował również narzucać formalnego tonu. Ludzie stopniowo milkli, a ja poczułam lekką irytację, że zapanowanie nad grupą przyszło mu tak naturalnie.

— Zanim zaczniemy — powiedziałam, stając przy stole — chciałabym wyjaśnić jedną rzecz. To spotkanie nie oznacza, że zaakceptowaliśmy jakiekolwiek zmiany w sposobie korzystania z oranżerii.

Marek spojrzał na mnie.

— Zgadza się.

— Ani przesuwania roślin bez uzgodnienia.

— Również.

— Ani ograniczania dostępu mieszkańcom.

Przez krótką chwilę milczał.

— To będzie zależało od wybranego rozwiązania.

W pomieszczeniu rozległy się pierwsze niezadowolone pomruki.

Poczułam, jak moje palce zaciskają się na krawędzi stołu.

— Właśnie dlatego chcę, żebyśmy od początku jasno określili, o co walczymy — powiedziałam. — Oranżeria powstała jako przestrzeń wspólna. Nie jako dekoracja, którą można oglądać przez szybę.

Pan Roman podniósł rękę.

— A może ktoś wreszcie powie, ile kosztuje naprawa tego cholernego ogrzewania?

Marek odłożył tablet.

— Nie mam jeszcze ostatecznej kwoty. Wiem natomiast, że problem nie dotyczy jednego grzejnika. Mamy nieszczelności, nierównomierne rozprowadzanie ciepła i zawilgocenie w kilku miejscach konstrukcji. Jeśli naprawimy tylko to, co widać, za rok możemy wrócić do punktu wyjścia.

— Czyli trzeba zamknąć oranżerię? — zapytała jedna z matek.

— Nie powiedziałem tego.

— Ale pan to rozważa?

— Rozważam wszystkie rozwiązania, które pozwolą bezpiecznie utrzymać budynek.

Nie podobała mi się ta odpowiedź. Była rzeczowa, ostrożna i praktycznie niemożliwa do podważenia. Jednocześnie omijała kwestię, która dla mnie pozostawała najważniejsza.

— A jeśli rozwiązanie techniczne okaże się sprzeczne z potrzebami mieszkańców?

Marek oparł dłonie o stół.

— Wtedy trzeba będzie zdecydować, które potrzeby da się pogodzić.

— Nie wszystko jest kwestią kompromisu.

— Wiem.

Powiedział to tak spokojnie, że nagle miałam ochotę zapytać, skąd właściwie wiedział. Zamiast tego otworzyłam własny harmonogram.

Przez następne pół godziny przedstawiałam plan działań. Mówiłam o inwentaryzacji kolekcji, warsztatach botanicznych, systemie dyżurów i zbiórce na najpilniejsze naprawy. Pokazałam zdjęcia roślin, których nie można było przenieść bez ryzyka uszkodzenia, oraz zestawienie kosztów zakupów potrzebnych do przywrócenia sprawności nawadniania.

Znałam każdą liczbę. Każde nazwisko wolontariusza. Każdy termin.

Przygotowywałam ten projekt przez miesiące, często nocami, pomiędzy pracą w laboratorium a wizytami tutaj. Nie zamierzałam pozwolić, żeby został potraktowany jak sympatyczne hobby kobiety, która za bardzo przywiązała się do doniczek.

— To świetnie opracowany program — powiedział Marek, kiedy skończyłam.

Nie spodziewałam się pochwały. Jeszcze mniej spodziewałam się tego, że zabrzmi szczerze.

— Dziękuję.

— Ale nie odpowiada na pytanie o stałe finansowanie.

Zacisnęłam usta.

— Zbiórka i darowizny…

— Mogą pomóc rozpocząć remont. Nie zapewnią przewidywalnych środków na kolejne lata.

— Skąd ta pewność?

— Z kosztów podobnych obiektów. Mogę je pokazać.

— Proszę.

Marek przesunął tablet w moją stronę. Na ekranie znajdowało się zestawienie zużycia energii, konserwacji instalacji i przewidywanych napraw. Nie wszystkie liczby były ostateczne, ale nawet szacunki wystarczały, bym poczuła nieprzyjemny ciężar w żołądku.

Dotąd skupiałam się na tym, jak ocalić oranżerię przed zamknięciem. Nie zastanawiałam się dostatecznie nad tym, co wydarzy się dwa lata później.

— To nie znaczy, że mój plan jest bezwartościowy — powiedziałam ciszej.

— Nigdy tego nie powiedziałem.

— Ale traktuje pan go jak połowę rozwiązania.

— Bo nią jest.

Podniosłam wzrok.

Marek patrzył na mnie bez triumfu. Nie próbował wykorzystać mojej chwilowej niepewności, żeby przekonać innych do własnej wizji.

— Pani rozumie, dlaczego to miejsce jest potrzebne ludziom — powiedział. — Ja rozumiem, czego potrzebuje budynek. Jeśli będziemy udawać, że jedno wystarczy bez drugiego, przegramy oboje.

To było pierwsze zdanie, które naprawdę do mnie trafiło.

Nie dlatego, że całkowicie się z nim zgadzałam. Raczej dlatego, że użył liczby mnogiej.

Oboje.

Nie wiedziałam jeszcze, czy mogłam mu zaufać, ale przez krótką chwilę poczułam, że przestał stać po przeciwnej stronie stołu.

Spotkanie zakończyło się przed południem, kiedy pani Helena stanowczo zarządziła, że dalsze dyskusje bez herbaty i czegoś ciepłego do jedzenia są zamachem na zdrowie wszystkich obecnych.

Mieszkańcy rozeszli się powoli, zostawiając po sobie puste kubki, okruszki i kartkę z dodatkowymi propozycjami. Przeważały pomysły rozsądne, choć ktoś zasugerował również hodowlę egzotycznych motyli, a pan Roman zaoferował samodzielne naprawienie wszystkich instalacji, pod warunkiem że nikt nie będzie mu przeszkadzał.

Zbierałam naczynia, kiedy Marek podszedł do mnie z dwoma krzesłami.

— Gdzie je odstawić?

Wskazałam miejsce przy wejściu.

— Za szafką z narzędziami.

Odstawił je i wrócił.

— Jest pani na mnie zła.

— Nie.

— To ciekawe, bo wygląda pani, jakby rozważała wyrzucenie mnie przez okno.

— Nie wyrzuciłabym pana przez okno. Uszkodziłby pan konstrukcję.

Roześmiał się cicho.

Tym razem nie był to ledwie widoczny uśmiech. Śmiech zmienił jego twarz w sposób, który wydał mi się niebezpiecznie przyjemny. Przez sekundę zobaczyłam w

nim kogoś zupełnie innego niż człowieka z kosztorysem i czerwonym flamastrem.

— Doceniam troskę o budynek — powiedział.

— Proszę się nie przyzwyczajać.

Wziął ze stołu ostatni kubek i zaniósł go do niewielkiego zaplecza.

Przyglądałam się, jak odkręca wodę i myje naczynie, chociaż nikt go o to nie prosił. Nie robił z tego przedstawienia. Po prostu dostrzegł coś, co należało zrobić.

Nie chciałam, żeby mi się to podobało.

— Mam propozycję — odezwał się, wycierając dłonie papierowym ręcznikiem.

— Kolejną kreskę przez moją kolekcję?

— Tym razem bez flamastra.

Wyjął z kieszeni złożoną kartkę.

— Potrzebuję dostępu do dokumentacji technicznej i możliwości wykonania pomiarów w trzech strefach. Pani potrzebuje rzetelnych danych do rozmowy z zarządcą. Możemy przygotować wspólną diagnozę.

— Na jakich zasadach?

— Pani odpowiada za rośliny, ich bezpieczeństwo i sposób użytkowania przestrzeni. Ja za ocenę konstrukcji i instalacji.

— A decyzje?

— Żadnych jednostronnych zmian.

— To zbyt ogólne.

Przez moment wyglądał na zniecierpliwionego. Szybko jednak zapanował nad wyrazem twarzy.

— Czego pani oczekuje?

Odłożyłam ścierkę.

— Że nie obudzi mnie któregoś dnia wiadomość, że połowa oranżerii ma zostać wynajęta firmie organizującej prywatne przyjęcia. Że żadna roślina nie zniknie bez mojej wiedzy. Że mieszkańcy poznają rzeczywiste warianty, zanim zarządca wybierze ten najwygodniejszy finansowo.

Marek spoważniał.

— Nie mogę obiecać, że zarządca wybierze pani rozwiązanie.

— Nie proszę o to.

— Mogę natomiast obiecać, że moje ustalenia techniczne będą jawne dla pani i przedstawicieli mieszkańców. Nie będę też przedstawiał pani projektu jako nieistotnego.

Wpatrywałam się w niego, szukając w tej deklaracji jakiegoś ukrytego zastrzeżenia.

— A pański projekt?

— Jeszcze go nie skończyłem.

— W takim razie chcę zobaczyć założenia, zanim zostaną zamienione w gotową rekomendację.

Nie odpowiedział od razu.

Podeszłam bliżej, opierając dłoń o blat stołu. Dzieliło nas może pół metra. Dostrzegłam ciemniejszy odcień jego zarostu przy szczęce i niewielką bliznę nad lewą brwią.

— Panie Marku, ja naprawdę nie walczę o własną dumę. Jeśli okaże się, że moje rozwiązanie jest niewystarczające, poprawię je. Ale nie zgodzę się, żeby mieszkańców potraktowano jak przeszkodę w prowadzeniu inwestycji.

— Wierzę pani.

Zaskoczyły mnie te dwa słowa.

— Tak po prostu?

— Nie. Po tym, jak broniła pani programu, a potem zaczęła zadawać pytania o koszty. Ktoś, komu zależy wyłącznie na postawieniu na swoim, nie robi tego drugiego.

Zrobiło mi się dziwnie ciepło.

Nie dlatego, że powiedział coś szczególnie romantycznego. Właśnie przeciwnie. Zauważył we mnie cechę, którą ceniłam najbardziej, a o której ludzie często zapominali, widząc moje przywiązanie do oranżerii.

— A pan? — zapytałam. — Na czym panu zależy?

— Żeby za pięć lat ten budynek nadal stał i nie wymagał kolejnego ratowania.

— Tylko tyle?

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

— To wystarczająco trudne.

W tej odpowiedzi było coś osobistego. Nie próbowałam jednak wyciągać z niego więcej. Nie znałam go na tyle dobrze, by mieć do tego prawo.

Po jego wyjściu zostałam jeszcze godzinę. Musiałam sprawdzić wilgotność podłoża w części tropikalnej i uzupełnić zapisy dotyczące podlewania. Zwykle ta praca mnie uspokajała, ale tym razem co chwilę wracałam myślami do rozmowy.

Nie lubiłam, kiedy ktoś podważał moje przygotowanie. Jeszcze mniej lubiłam, kiedy robił to kompetentnie.

Marek nie proponował łatwego rozwiązania. Pokazał mi problem, którego nie mogłam zignorować, a jednocześnie nie odebrał znaczenia temu, co już zrobiłam.

To było irytująco atrakcyjne.

Telefon zawibrował w kieszeni.

Wiadomość od Karoliny, mojej przyjaciółki, przyszła wraz ze zdjęciem kubka kawy.

„Jak wojna o dżunglę? Projektant przeżył?"

Uśmiechnęłam się i odpisałam:

„Niestety. Jest rozsądny, co znacznie komplikuje sprawę".

Odpowiedź pojawiła się niemal natychmiast.

„Rozsądny i przystojny? Uważaj, to podejrzane połączenie".

Schowałam telefon, zanim zdążyłam przyznać przed samą sobą, że Karolina miała rację przynajmniej w jednej kwestii.

Przy zachodnim parapecie zatrzymałam się przed monsterą. Jej największy liść rozciągał się ponad granicą zaznaczoną wcześniej przez Marka. W świetle późnego popołudnia wyglądał niemal przezroczyście, a drobne krople wody zbierały się na jego końcach.

Dotknęłam ostrożnie chłodnej powierzchni.

— Nie dam cię stąd wyrzucić — powiedziałam.

— Dobry początek rozmów z roślinami. Gorzej z ludźmi.

Odwróciłam się gwałtownie.

Marek stał przy wejściu.

— Pan mnie śledzi?

— Zostawiłem ładowarkę. — Wskazał stolik przy drzwiach. — Ale jeśli woli pani bardziej dramatyczną wersję,

mogę powiedzieć, że wróciłem, żeby sprawdzić, czy monstera dobrze się czuje.

— Ona przynajmniej nie rysuje po cudzych planach.

Podszedł do stolika, zabrał ładowarkę i przez chwilę przyglądał mi się z rozbawieniem.

— Wie pani, co jest najtrudniejsze w projektowaniu szklarni?

— Przekonanie botaniczek, że zna pan się na swojej pracy?

— To dopiero odkrywam. Chodzi o to, że ludzie oczekują od budynku stabilności, a rośliny wymagają ciągłej zmiany. Trzeba zaprojektować coś trwałego dla czegoś, co nieustannie rośnie.

Nie odpowiedziałam.

Spojrzałam na monsterę, potem na niego.

Było w tych słowach więcej niż techniczna obserwacja. Może właśnie dlatego zapamiętałam je tak dokładnie.

— W takim razie — powiedziałam — powinien pan wiedzieć, że roślin nie da się przekonać do wzrostu według projektu.

— Wiem. Dlatego wolę projektować miejsce, które potrafi im ustąpić.

Przez chwilę staliśmy naprzeciw siebie w ciszy.

Nagle nie wydawała się niezręczna.

Marek pierwszy odwrócił wzrok.

— Do jutra, pani Zuzanno.

— Do jutra, panie Marku.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy od wielu miesięcy naprawdę czekałam na kolejny dzień pracy.

I nie miało to nic wspólnego z roślinami.

Rozdział 2 - Warunki współpracy

Następnego ranka znalazłam w skrzynce mailowej wiadomość od Marka.

Temat brzmiał: „Oranżeria — propozycja zasad współpracy".

Otworzyłam ją, zanim zdążyłam przygotować śniadanie.

W załączniku znajdował się dwustronicowy dokument zawierający zakres prac, sposób wymiany informacji i harmonogram pierwszych pomiarów. Marek uwzględnił wszystkie moje zastrzeżenia z poprzedniego dnia. Zaznaczył również, że ocena techniczna nie stanowi zgody na zmianę zasad korzystania z przestrzeni.

Przeczytałam dokument dwukrotnie.

Na końcu znalazłam dopisek:

„Proponuję dziś o osiemnastej omówić szczegóły poza oranżerią. Bez publiczności, ciastek i sporów o parapet. M.K."

Nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu.

Odpisałam, że zgadzam się na rozmowę, pod warunkiem że przyniesie wszystkie dostępne dane dotyczące kosztów ogrzewania.

Odpowiedź przyszła po kilku minutach.

„Przyniosę. Czy kawa jest dopuszczalną formą prowadzenia negocjacji?"

„Zależy od jakości kawy".

„W takim razie wybiorę miejsce ostrożnie".

Odłożyłam telefon i spojrzałam na swoje odbicie w kuchennym oknie.

Miałam na sobie stary bawełniany podkoszulek, włosy związane niedbale na czubku głowy i minę kobiety, która właśnie zgodziła się na coś bardziej interesującego niż zwykłe spotkanie zawodowe.

Nie wiedziałam jeszcze, czy to mnie cieszyło, czy niepokoiło.

Przed południem zadzwonił zarządca budynku, pan Wiktor Maj.

Był człowiekiem, który potrafił mówić przez dziesięć minut, nie udzielając ani jednej jednoznacznej odpowiedzi.

— Pani Zuzanno, dostałem informację, że wczorajsze spotkanie przebiegło konstruktywnie.

— Zależy, co rozumiemy przez konstruktywnie.

— Najważniejsze, że mieszkańcy rozumieją konieczność zmian.

— Rozumieją konieczność napraw. To nie to samo.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

— Proszę pamiętać, że obecny sposób utrzymywania oranżerii jest kosztowny.

— Właśnie dlatego przygotowujemy alternatywy.

— Pan Kłos ma duże doświadczenie. Liczę, że będzie pani współpracowała z nim bez niepotrzebnych trudności.

Nie spodobało mi się to sformułowanie.

— Jeśli przez trudności rozumie pan pytania o przyszłość wspólnej przestrzeni, to obawiam się, że nie mogę niczego obiecać.

Zakończyłam rozmowę uprzejmie, ale zdecydowanie.

Przez kilka minut siedziałam przy biurku, wpatrując się w ekran komputera. Przypomniałam sobie słowa Marka o finansowaniu i jego krótkie zawahanie, kiedy zapytałam o dostęp mieszkańców.

Nie chciałam być niesprawiedliwa. Mimo to wiedziałam, że jego zawodowe zobowiązania nie musiały pokrywać się z moimi.

Mój telefon ponownie zawibrował.

„Znalazłem kawiarnię przy ulicy Święty Marcin. Mają podobno dobrą kawę i stoliki wystarczająco duże na dokumenty. Osiemnasta nadal aktualna?"

Odpisałam:

„Tak. Ale dokumenty zajmują pierwszeństwo".

„Rozumiem. Postaram się nie czuć urażony".

Roześmiałam się głośno.

W pustym mieszkaniu zabrzmiało to zaskakująco.

Do kawiarni przyszłam pięć minut przed czasem.

Nie dlatego, że szczególnie zależało mi na punktualności. Po prostu nie chciałam, żeby Marek miał okazję zobaczyć, jak biegnę przez ulicę, poprawiając szalik i przeklinając źle dobrane buty.

Miejsce było niewielkie, z drewnianymi stolikami, ciepłym światłem i zapachem świeżo mielonej kawy. Za oknem przesuwali się ludzie z parasolami, a mokry bruk odbijał światła samochodów.

Marek już siedział przy stoliku pod ścianą.

Kiedy mnie zobaczył, wstał.

Ten drobny gest wydał mi się nieoczekiwanie ujmujący.

— Pani Zuzanno.